

Krzysztof
Spadło

Skazaniec

TOM III



Krzysztof Spadło

Skazaniec

tom III

Za garść srebrników

PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:
Dariusz Herbowski

KOREKTA:
Małgorzata Wawrzyniak

ISBN: 978-83-65339-03-4

WYDAWCA:
SilverLemon

KONTAKT:
skazaniec@silverlemon.pl

Copyright © 2015 Krzysztof Spadło & SilverLemon

www.skazaniec.com
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2015

*Dla Gosi.
Bez Ciebie wszystko
byłoby niczym.*

Starość jest przerażająca! Coraz częściej miewam takie chwile, kiedy obawiam się czy nadal jest we mnie poczucie rzeczywistości. Niekiedy zachodzę w głowę starając się sobie przypomnieć, co wczoraj zjadłem na śniadanie i... mam z tym problem. Sprawy sprzed kilku dni umykają gdzieś w nicość i zapadają się w otchłań zapomnienia, ale za to cała odległa przeszłość wydaje się chwilą, która właśnie minęła.

O tak, czas to podły szyderca!

Drwi sobie ze mnie w najlepsze. Sprawia, że każde wspomnienie niesie ze sobą doznania dla wszystkich zmysłów. W moim umyśle wciąż słyszę szczęk klucza w zamku, jęk zawiasów, gong dzwonu na sterowni i odgłos kroków uderzających o drewniane podesty. W ustach panoszy się znajomy smak cierpkiej kawy, który przez długie lata witał mnie każdego poranka. Kiedy tylko wspomnę jaki paskudny fetor czaił się w pomieszczeniu z silosami, to gówniany zapach natychmiast rozsadza mi nozdrza. Co to za życie, skoro nawet słońce nie ogrzewa mnie na tyle, żebym przestał czuć na swym ciele chłód więziennych korytarzy?

Możecie mi wierzyć na słowo, że dźwigam na swych starych ramionach ciężkie brzemie. Niekiedy parszywy ból rozrywa duszę i doskwiera tak bardzo, że trudno jest wytrzymać. W takich chwilach oddałbym wszystko, by móc zanurzyć usta w wodach mitycznej rzeki Lete, pociągnąć solidny łyk i doznać zapomnienia.

Czasami miesiam takie dni, kiedy ogarnia mnie wyciszenie i nie mam żadnych skojarzeń. Lubię ten stan. Czuję się wtedy tak, jakbym odpoczywał po długim i żmudnym marszu, a nim zapadnie zmierzch, świat naprawdę wydaje się piękny. Staję wówczas w oknie, palę papierosa i przyglądam się jak światło dnia zaczyna konać w ramionach nocy. Potem nastaje ciemność i wtedy wszystko co miłe ulatuje gdzieś w mrok, a w duszy zaczynają rozbrzmiewać pierwsze takty niepokoju. Nie zawsze potrafię zagłuszyć tę ponurą melodię. Mam wrażenie, że wszystkie moje lęki i obawy snują się tuż obok niczym złowieszcze cienie, jakby chciały mi oznajmić, że tej nocy stare demony przyjdą w odwiedziny.

Niekiedy miesiam parszywe sny. Złośliwe mary nawiedzają mnie w tak intensywnym wydaniu, że gdy otwieram oczy, to jestem przerażony i potrzebuję kilku chwil, żeby dojść do siebie. Siadam na krawędzi łóżka, wpatruję się w pomarszczoną skórę na moich dłoniach i czuję jak spływa na mnie ulga, bo widzę, że jestem tu i teraz.

Potęga ludzkiego umysłu jest zadziwiająca. Upłynęło tak wiele lat, a ja nadal mieszkam chwile, kiedy nagle przypominam sobie jakiś detal. Potem w głowie odpala się projektor wyobraźni i przewija wspomnienia niczym kadry filmowej taśmy. Klatka stop i od nowa.

I jeszcze raz.

I znowu.

W wyobraźni jawią się znajome twarze, gesty, głosy, zdarzenia, a nawet błahe szczegóły, które dziś nabierają zupełnie innego znaczenia.

Wczoraj podczas pisania złamałem rysik w ołówku. Grafitowy szpic turlał się wzdłuż kartki, a mnie nagle dopadła gorzka refleksja, że być może taki sam kruchy przedmiot przekreślił jesienią 1933 roku moją szansę na inne życie. Tamtego wieczoru Frantz robił listę ochotników do pracy w polu. Następnego dnia stu chłopów miało wyjść poza mury. Wykopki. Pamiętne wykopki, które po wsze czasy wpisały się w historię wronieckiego więzienia. Ja też miałem iść w pole, bo zawarłem z Frantzem układ i dałem mu to, czego chciał...

Rozumiem, że teraz dumanie o tym – co by było gdyby – nie ma najmniejszego sensu. Tylko co mi z tej wiedzy, skoro nie wiem jak powstrzymać te gdybające myśli? To kolejne oblicze starości, które mnie kęsa i dręczy.

Niekiedy patrzę w lustro i widzę twarz, której

mam sporo do zarzucenia, bowiem zdarzyło się w moim życiu kilka spraw, z których nie jestem dumny. Były też sytuacje, kiedy mogłem postąpić inaczej, właściwiej, a zamiast tego, chowałem się za woalem własnych słabości i wygodnictwa. Kiedy spoglądam w przeszłość i widzę, co dla innych więźniów w czasie hitlerowskiej okupacji było w stanie zrobić pięciu młodych oratorianów, to zaczynam się zastanawiać, czy jestem godzien określać się mianem człowieka? Nie pomogą żadne modlitwy i błagania, nie zmienię tego co było, niczego nie naprawię i nie cofnę czasu. Naprawdę żałuję, że historia mojego życia jest pełna wydarzeń, które przecież mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Za późno na jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Jedno co mogę zrobić, to tylko bezradnie rozłożyć ręce i powiedzieć, że jest mi przykro.

Cóż z tego, że w dobrym zdrowiu dożyłem sędziwego wieku? Nie mam pojęcia co znaczy być mężem, ojcem, dziadkiem... Sam nie wiem ile razy zastanawiałem się – po jaką cholere to wszystko? Jaki jest sens mojego istnienia? Podejrzewam, że ludzie tacy jak ja, tacy którzy czują w sobie pustkę, rozmyślają nad tym i uparcie szukają odpowiedzi. Jednak kiedy człowiek za bardzo zaprzęta sobie głowę takim ciężarem, łatwo się może pogubić i wpaść w sidła bezsilnej obojętności. Wiem coś o tym, bo kilka razy w życiu zabrnąłem w tę ślepą uliczkę i znałem

takich, którzy tam również dotarli. Trudno wyjaśnić jak to jest, a szczególnie komuś, kto tego nigdy nie doświadczył. Nie ma takich słów, którymi można opisać ludzkie uczucia kiedy cały świat wydaje się bezbarwny, kiedy każdego dnia tracisz chęć do życia, kiedy czujesz głód i nie możesz przełknąć nawet kęsa, kiedy pragniesz zasnąć, ale krzyk w twojej głowie nie pozwala ci zmrużyć oczu. Medycyna nie zna lekarstwa na chorobę duszy. Nie ma magicznego eliksiru który sprawi, że ktoś pogrążony w rozpacz pociągnie z karafki solidny łyk mikstury i nagle powróci do niego znajoma radość życia. Jest tylko jeden sposób, żeby wyrwać się z marazmu, żeby znowu poczuć jak w żyłach krąży krew i odzyskać utraconą równowagę umysłu. Trzeba odnaleźć w sobie misję i użyć wszystkich sił, żeby ją realizować. Jeżeli ktoś twierdzi inaczej, to opowiada bzdury.

Pewnego dnia Johnny Alcatraz, największy bajerant jakiego znałem, powiedział coś całkiem mądrego:

- Kiedy człowiek nie ma celu, do którego będzie zmierzał, to po prostu sparszywieje.

Gdybym kilka miesięcy temu nie wpadł na pomysł aby spisać wspomnienia, które noszę w głowie, to Bóg jeden raczy wiedzieć kim byłbym teraz. Śmiem twierdzić, że chyba zdziałałbym do reszty. Wiem, to może wydawać się śmieszne, ale ja naprawdę odnalazłem w tym ratunek, kiedy wbiłem sobie do

łba, że właśnie to stanowi cel mojego życia. Od tamtej pory zniknęły te wszystkie dylematy, że nie mam rodziny, potomstwa i że moje nazwisko umrze wraz ze mną. Sensem mojego istnienia zostało tych kilka skoroszytów, będących uczciwym świadectwem czasów, w których przyszło mi żyć. Nawet nie macie pojęcia ile przekłamania i fałszu zostało sprytnie przemyconych i wplecionych w historię współczesnej Polski. Włos się jeży na mojej starej głowie, kiedy pomyślę o tym, jak wiele zostało napisanych podręczników i opracowań, które tak naprawdę są głównie waste. Kilka z nich wpadło mi w ręce i miałem je okazję przeczytać, pełno w nich kłamstwa, manipulacji i zonglowania faktami. Powstały chyba tylko po to, aby stworzyć iluzję naszego narodowego ego, żeby błyszczało i lśniło w oczach potomnych niczym nieskazitelny diament. Unika się tematów, które obnażają krwiożerczą walkę o władzę i przywileje, milczy się w kwestii wszechwładnej mamony, a za klauzulą tajności, ukrywa się rządowe afery, gospodarcze przekręty i polityczne morderstwa. Ktoś mógłby mnie zapytać – a kim ty jesteś u licha, żeby snuć takie oszczerstwa?

Nazywam się Stanisław Żabikowski i jestem nikim. Przechodzę do historii jako więzień II Rzeczypospolitej skazany wyrokiem prawomocnego sądu na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Jako były skazaniec, mam świadomość, że dla wielu

z was jestem osobą niewiarygodną albo człowiekiem drugiej kategorii. Tak jest skonstruowany świat, w którym wzorce społeczne budują ludzką mentalność i nic tego nie zmieni. Nawet nie wiem dlaczego, ale zawsze kiedy zastanawiam się nad tą filozoficzną kwestią, dociera do mnie sens słów jakie swojego czasu wypowiedział pewien człowiek, który w rządzie III Rzeszy piastował funkcję ministra propagandy

i oświecenia publicznego. Na pewno słyszeliście o nim, nazywał się Joseph Goebbels. To on był autorem zdania, które na zawsze zostanie zwierciadłem naszego świata i życia - „wielokrotnie powtórzone kłamstwo staje się prawdą” - i myślę, że trudno się z tym nie zgodzić.

Ja nie mam żadnych powodów aby zatruć fałszem swoje wyznania. Jestem już stary i pragnę tylko uczciwie rozliczyć się z przeszłością, bo niebawem nadejdzie mój czas, a chciałbym się udać w zaświaty z czystym sumieniem. Tak w głębi duszy żałuję tylko tego, że nie potrafię odnaleźć w sobie wybaczenia. Wyznać grzechy, obnażyć swe błędy i okazać prawdziwą skruchę to jedno, a odpuścić winnym, to drugie.

Niestety brak we mnie choćby namiastki miłosierdzia, jakie miał w sobie Chrystus.

Przyznam się wam do czegoś, otóż kiedy Wolf

załatwił Szumskiego, poczułem ulgę. Zupełnie jakbym zrzucił ze swoich pleców jakiś cholerny ciężar. Na samą myśl o tym, że Wszawy Mendziarz już nigdy więcej nie odwiedzi mojej celi, rozpieła mnie radość i satysfakcja.

Byłem też jedynym więźniem we Wronkach, który poznał prawdziwe oblicze Rzeźnika z Danzing.

Aspiranta Szumskiego pochowano na wronieckim cmentarzu z wielką pompą. Galowe mundury, orkiestra, wieńce, kwiaty, uroczysta msza żałobna, salwa honorowa i kondukt ludzi. Zjawiała się delegacja z miejskiego ratusza, a sam naczelnik Zalewski wygłosił pełne patosu przemówienie. Dla wszystkich, którzy brali udział w pożegnalnej ceremonii martwy funkcjonariusz stał się symbolem męczennika, ofiary unicestwionej przez złego i podłego kryminalistę. Tylko nieliczni mieli świadomość jaki naprawdę był Teodor Szumski, który naginał prawo, łamał przepisy i podle traktował niektórych skazańców. O tym się nie mówiło. Mit wzorowego strażnika, oddanego służbie i niewdzięcznym obowiązkom wywindował go na piedestał, a pośmiertnie, przyznano mu rangę podkomisarza służby więziennej.

Niewielu ludzi wiedziało iż późną nocą, która poprzedzała dzień pochówku Szumskiego pod cmentarnym murem kilku mundurowych pogrzebało

zwłoki Wilhelma Wolfa. Tak właśnie było. Mogę temu zaświadczyć, bo dzień wcześniej własnoręcznie zrobiłem z sosnowych desek skrzynię, która posłużyła za jego trumnę. Następnie hołdując wiernie swemu przyrzeczeniu, wpisałem jego nazwisko i datę śmierci na odwrocie tablicy wiszącej w stolarni.

Dochodzenie w sprawie zabójstwa Szumskiego ciągnęło się ponad dwa miesiące. O zdarzeniu było głośno, a naczelnik nie miał możliwości, żeby ukrećć sprawie łeb i zamknąć ją na tyle, aby nie wyciekła poza mury wronieckiego więzienia. Powołano specjalną komisję, która drobiazgowo miała przeanalizować wszystkie aspekty tej niecodziennej afery. Zjawili się ludzie z prokuratury, a tematem zainteresował się jakiś żądny sensacji dziennikarzyna z poznańskiej prasy. Trudno mi powiedzieć jak wiele ciemnych i brudnych spraw wyszło wtedy na jaw. Chyba sporo, bowiem śmierć Wszawego Mendziarza przyniosła kolosalne zmiany. Jednak wszystko co rozegrało się na płaszczyźnie regulaminów było niczym w porównaniu do tego, jak to spektakularne morderstwo wpłynęło na mentalność pracowników więzienia. Większość z nich z przerażeniem zdała sobie sprawę, że w obrębie tych mrocznych murów, żaden funkcjonariusz nie może czuć się bezpieczny.

Był tylko jeden człowiek, którego zeznania

mogły swym blaskiem boleśnie oślepić członków tej zacnej komisji śledczej. Nazywał się Rudolf Frantz. On wiedział dużo o metodach jakie w stosunku do skazanych stosował jego były przełożony. Prywatnie byli kumplami, doskonale się rozumieli, a w pracy niejednokrotnie działali wspólnie.

W ciągu tych dwóch miesięcy wszyscy więźniowie z bloku B zostali przesłuchani, a każde zeznanie trafiło do opastych tomów akt. Ja również musiałem odpowiedzieć na szereg pytań. To była czysta formalność. Miałem twarde alibi jakie zapewnił mi swoim zeznaniem strażnik, który tego feralnego dnia pełnił służbę w bibliotece. Natomiast podczas przesłuchania, trzymałem się sztywno zasady trzech małp. Nabyta w więzieniu ostrożność nakazywała mi nie wywlekać na światło dzienne żadnych gównianych zająć z przeszłości. Przecież cokolwiek bym nie powiedział, to i tak niczego nie mogłem zmienić. Miałem świadomość, że kilka słów prawdy mogło mi bardziej zaszkodzić niż pomóc. Śledztwo, które miało wyjaśnić okoliczności morderstwa zupełnie przypadkiem obnażyło mechanizm współdziałania funkcjonariuszy i ich niepisaną zмовę milczenia. Szczególnie drażliwą sprawą okazał się wątek korespondencji. Szumski nie miał rodziny, a tak na marginesie to wcale się temu nie dziwię, bo jaka kobieta chciałaby takiego

popaprańca? Za życia aspirant zajmował służbowe, dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze przy ulicy Lipowej 5. Pozostawił po sobie sporo prywatnych rzeczy, coś z nimi trzeba było zrobić i przygotować kwaterę do zasiedlenia przez innego pracownika. W związku z tym, że sprawy lokalowe pozostawały w gestii więziennej administracji powołano kolejną komisję, aczkolwiek już wewnętrzną, w skład której wszedł również Rudolf Frantz. To właśnie on znalazł ukrytą w mieszkaniu Szumskiego teczkę z listami, którą wraz z raportem przekazał bezpośrednio na ręce naczelnika. W tym samym budynku, ale na parterze, mieszkał też dozorca Lepke. Klawisze z bloku B mieli niezły ubaw i ciągle mu dogryzali, że jak Rudolf się rozkręci to na jego kwaterze również zrobi niezły kipisz. Swoją drogą Frantz dobrze kombinował, wiedział jak wkraść się w łaski przełożonego i rozpocząć swój zwyczajny marsz do kolejnego awansu. Śmierć Szumskiego bardzo mu w tym pomogła.

W śledztwie wątek korespondencji do więźniów nie mógł w cudowny sposób rozpierzchnąć się w powietrzu. Sprawa była zbyt gruba. Okazało się, że teczka znaleziona w mieszkaniu aspiranta zawiera mnóstwo listów do skazańców, którzy byli osadzeni na bloku B, ale zdążyli już odpokutować swoje winy i opuścili więzienne mury. Każdy list był otwarty. W moim mniemaniu wyglądało to tak, jakby Wszawy

Mendziarz stworzył sobie swoje prywatne archiwum, dzięki któremu mógł prowadzić szantaż emocjonalny w stosunku do tych, których nie darzył sympatią.

To odkrycie stanowiło niezbity dowód na to, że musiało dochodzić do fałszowania księgi pocztowej na dyżurce oficera. Zrobił się niezły bajzel, wielu mundurowych ukarano naganą i ta sprawa położyła się cieniem na ich dalszej, zawodowej karierze. Zalewski zapowiedział, że jeśli którykolwiek z funkcjonariuszy dopuści się tego ponownie, zostanie dyscyplinarnie zwolniony z pracy, bez względu na rangę i staż służby. Jakby tego było mało, naczelnik uświadomił swojej kadrze, a szczególnie pracownikom niższego szczebla, że jeśli mają wątpliwości co do poleceń swoich bezpośrednich przełożonych to oczekuje od nich osobistego meldunku w tej sprawie.

Pewnego dnia przypadkiem usłyszałem jak Robalski rozmawiał z Mroczkowskim:

- I niby co on sobie myśli? Że któryś z nas się skurwi?
- dozorczy czasami używali tych samych określeń co skazańcy.
- Nie, nie kolego – odparł Mroczkowski, który miał za sobą więcej lat pracy niż jego rozmówca i tym samym większe doświadczenie. - On wie, że nikt z nas nie przyjdzie z takim meldunkiem. Każdy natomiast będzie się pilnował, żeby nie stracić roboty. Będziesz nadstawiał tyłek, bo ktoś ma na pieńku z jakimś

śmieciami? Raczej nie, prawda?

- No prawda.

- Skończyły się czasy Szumskiego i jego wariactw. Trzeba robić swoje i patrzeć co będzie dalej. Nie mam zamiaru wychylać się przed szereg, zostało mi pięć lat do emerytury i tylko to mnie interesuje.

Wtedy uświadomiłem sobie, że chłopaki w brązowych mundurkach też mają się na baczności.

W pewien grudniowy wieczór przodownik Frantz zjawił się w mojej celi tuż przed ciszą nocną. Kiedy ja stałem na baczność obok okna, on usiadł przy stole, zdjął czapkę i zapytał:

- Zdajesz sobie sprawę, że ten młokos Kurski wyśpiewał jakiś czas temu wszystko jak na spowiedzi?

- Nie bardzo rozumiem panie przodowniku – odparłem, chociaż byłem tego świadom. Młody zaraz po wyjściu z lazaretu, kiedy jeszcze chodził z obandażowanym barkiem opowiedział mi co i jak. Zastraszili go, dostał kilka klapsów, a kiedy wyznał Szumskiemu za kogo go uważamy i jak o nim mówimy, ten z wściekłością zdzielił go pałą tak mocno, że pogruchotał mu obojczyk.

- Ty już dobrze wiesz – Frantz spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem. - Za długo mam do czynienia z takimi jak ty. To, że tamtej niedzieli byłeś w bibliotece, nie świadczy o tym, że niczego nie

wiesz – powiedział podejrzliwym głosem. - To, że sprawa została zamknięta i protokoły spisane, wcale nie oznacza końca tej historii. Czy sądzisz, że wszystko zmieni się na lepsze, bo już nie ma wśród żywych aspiranta Szumskiego? Naprawdę tak myślisz? - w moich uszach słyszałem autentyczne niedowierzanie. - Były dwa wiadra, ale tylko jeden skazaniec. To drugie wiadro jakoś bardzo pasuje mi do ciebie. Ty, Wolf i ten szczył Kurski... jak to Teodor o was mówił? Święta trójca? Zgadza się? - ponownie spojrzał mi w oczy. - Dzieciak był wtedy na izbie chorych, więc jakby nie kombinować, to drugie wiadro było dla ciebie. Wy zawsze pracowaliście razem – ciągnął Frantz, a ja czułem jak moje kolana robią się wiotkie niczym wata. - Szkoda tylko, że komisja nie usłyszała tego z moich ust. Teraz już rozumiesz?

- Nie panie przodowniku, nie rozumiem – siedłem w zaparte.

Na dźwięk moich słów pokiwał tylko głową i spojrzał na mnie z dziwnym grymasem.

- Myślę, że wszystko doskonale pojmujesz – mówił spokojnie, a palcami lewej dłoni lekko uderzał o drewniany blat stołu wybijając równomierny rytm. - Wiele spraw się zmieni, ale ty nadal będziesz skazańcem z wyrokiem dożywocia. Natomiast ja nadal będę sumiennym funkcjonariuszem służby więziennej. Może nawet niebawem awansuję – w jego

głosie zabrzmiała lekka nutka nadziei. - I wiesz co to oznacza? - to było tylko retoryczne pytanie. - Że przez długie lata będziemy żyć obok siebie – wstał i podszedł do mnie. - To, jaka czeka cię tutaj przyszłość w dużej mierze zależy tylko od ciebie – położył mi dłoń na lewym ramieniu i delikatnie ścisnął. - Mogę ci być przychylny – powiedział cichym głosem zbliżając nieco swoją twarz do mojej. Nagle na korytarzu rozległ się odgłos prężnych kroków uderzających w podest ciągnący się wzdłuż cel. Frantz cofnął swoją ręką, obrócił się na pięcie, złapał czapkę leżącą na stole i założył ją na głowę. - To tyle co mam ci do powiedzenia na dzisiaj – rzucił głośno służbowym tonem i ruszył w stronę drzwi. Już miał je zamknąć, kiedy znowu spojrzał na mnie i powiedział – jeszcze wrócimy do naszej rozmowy.

Stałem przez dłuższą chwilę i czułem się tak, jakbym wpadł w jakąś cholerną pętlę czasu. *To się nigdy nie skończy* – złowieszczy głos Końskiej rozległ się w zakamarkach mojej czaszki. Problemy zostały takie same i wszystko wskazywało na to, że pojawił się nowy zarządca, który miał odmienne oczekiwania niż jego poprzednik.

Zapaliłem papierosa i wlepiłem wzrok w grudniową ciemność.

Pomny na słowa Wolfa o wstrzemięźliwości zadbałem o to, żeby moje stosunki z Młodym nie

przekroczyły niebezpiecznej granicy, która zrodziłaby we mnie poczucie odpowiedzialności. Wspólnie zjadaliśmy posiłki, sporo czasu spędzałem z nim na spacerniaku i chociaż ścieżki naszego życia splotły się w tych murach, to jednak świadomie uciekałem od przyjacielskiej zażyłości. Powiem tak, to był dobry dzieciak i nawet go lubiłem, ale niestety, byłem w tym podłym miejscu za dużo lat jak na jedno życie. Miałem w głowie zbyt wiele parszywych wspomnień. Tutaj szybko umiera w człowieku to, co w nim dobre i najlepsze. Życzliwość? Ona budzi się wtedy, kiedy masz jakiś interes. Współczucie? Zapominasz co to takiego. Bezinteresowność w stosunku do bliźniego? Szybko pozbywasz się złudzeń, że coś takiego istnieje.

Nie tu.

Nie w więzieniu.

Każdego dnia natomiast czujesz jak twoją skórę porasta niewidzialny pancerz znieczulicy. Na początku jeszcze się przed tym bronisz, myślisz o tym kim byłeś kiedyś i zadziwia cię fakt, kim stałeś się tutaj. Potem jednak przywykasz do tego stanu i traktujesz jak coś zupełnie naturalnego, a łzy drugiego człowieka, przestają na tobie robić jakiegokolwiek wrażenie.

Podczas świąt bożego narodzenia widziałem jak Młodemu szklą się oczy. Sądziłem, że to z tęsknoty

i żalu, dlatego też o nic nie pytałem. Nie było w tym nic dziwnego, bo czas świąt jak żaden inny, potrafił złamać nawet największego twardziela. Tak samo jak każdy z tutaj obecnych, ja również dźwigałem swój krzyż i daleki byłem od tego, żeby dręczyć się jeszcze cudzymi problemami. To średnia przyjemność słuchać czyjegoś płaczu w takiej chwili, kiedy tobie samemu chce się wyć.

Święta minęły, świat wkroczył w nowy 1933 rok, a Młody nadal wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

W tym samym czasie za zachodnią granicą w dalekiej Kolonii, w pałacu barona Kurta von Schroedera, odbywały się tajne negocjacje. Wieczorem 4 stycznia grupa kilku mężczyzn spotkała się w dużej pałacowej sali. Drewniane polana skrzyły się w kominku, blask świec oświetlał wiszące na ścianach ręcznie haftowane gobeliny, a służba podała lampki z koniakiem i kawę w porcelanowych filiżankach. To właśnie tam toczyły się ważne rozmowy i tam zawarto pakt w efekcie którego, kilka lat później, los ludzkości obrócił się w perzynę. To właśnie wtedy Adolf Hitler został kanclerzem, chociaż oficjalnie jego nominację prezydent Niemiec ogłosił dopiero 30 stycznia. Dzień później wszystkie gazety świata podały tę informację do publicznej wiadomości a „Kurjer Poznański” na czołowej stronie zamieścił

obszerny artykuł zatytułowany - „Bojowy rząd Adolfa Hitlera w Niemczech”.

Taka wiadomość potrafiła rozpalić ludzką wyobraźnię, a już szczególnie wśród tych, którzy sądzili, że zmiany po drugiej stronie murów będą miały zbawienny wpływ na naszą egzystencję. Ileż było plotek i domysłów! Nawet nie sądziłem, że tak łatwo można w umyśle człowieka zaszcześcić złudną nadzieję! Przerobiłem ten temat kilka lat temu i doskonale wiedziałem, że trzeba się martwić tym co jest tu i teraz, a nie tym, co może się dopiero zdarzyć. Za sprawą politycznego życia w Niemczech afery z Szumskim zeszła z ust skazańców i prawie wszyscy rozmawiali tylko o tym, że wybuch wojny to tylko kwestia czasu, a my dzięki temu odzyskamy wolność. Kiedy słyszałem na spaceru jak w kółko mówi się tylko o tym, kiedy widziałem te wszystkie gęby pełne chorego entuzjazmu, to miałem ochotę stanąć pośrodku placu i krzyknąć:

- Hej, co jest z wami?! Rozum wam odebrało do reszty?!

Wszyscy zachowywali się tak, jakby naprawdę wierzyli, że niebawem rozpęta się piekło. Ludziom wydawało się to takie oczywiste. Co bardziej zorientowani snuli domysły, że Piłsudski w porozumieniu z Francuzami przeprowadzi uderzenie prewencyjne na Niemcy. Tak, istniał taki projekt, bo niemiecka armia rozwijała swój arsenał

już od kilku lat. Problem w tym, że żabojady nie były zainteresowane takim rozwiązaniem. Francuzi mieli swoją Linie Maginota i wierzyli, że nikt nie pokona ich fortyfikacji. Natomiast ja naprawdę miałem ochotę zebrać wszystkich więźniów do kupy, ustawić w czwórkowe kolumny i zmusić ich, żeby mnie wysłuchali. Opowiedziałbym im o złudzeniach, jakie kilka lat temu opętały skazańców podczas przewrotu majowego i może wtedy, dotarłoby coś do ich pustych łbów.

Oprócz mnie, był chyba jeszcze tylko jeden więzień, który nie uległ tej paranoi.

Wacław Kurski vel Młody.

Miałem świadomość, że od jakiegoś czasu dręczy go coś ponurego. Każdego dnia widziałem jego smutną twarz, ale o nic nie pytałem. Wiem jak to jest, kiedy coś cię zżera od środka, wiem, że jeśli nie chcesz o czymś rozmawiać to będziesz milczał, a inni powinni to uszanować.

Tej lutowej niedzieli, kiedy miałem ochotę wszystkich uświadomić, zobaczyłem Młodego jak siedzi samotnie na ławce po prawej stronie spacerniaka. Zapaliłem papierosa i wolnym krokiem ruszyłem w jego kierunku.

Chciałem tylko pogadać.

- Coś taki markotny? - zapytałem i spocząłem tuż obok.

Wacek nic nie odpowiedział. Palce dłoni trzymał splecione jak do modlitwy i tępym wzrokiem wpatrywał się w czubki swoich butów.

- Tee, milczek – klepnąłem go dłonią w ramię, a on natychmiast cofnął się niczym przerażony kundel. Przez kilka chwil przyglądałem się jego mizernej i zgarbionej sylwetce, aż w końcu zapytałem:

- Ty, co z tobą?

- Daj mi spokój – odburknął i przesunął się jeszcze nieco w prawo.

Sprawiał wrażenie człowieka, któremu udzieliła się szarość dzisiejszego dnia. Nawet skóra na jego policzkach miała popielaty odcień, a cienie pod oczami wydawały się bardziej zmęczone niż zazwyczaj.

- Jak tam sobie chcesz – wzruszyłem ramionami.

Wtem zegar na wieży uderzył donośnie obwieszczając kwadrans po dziesiątej. Dźwięk dzwonu sprawił, że stado wron siedzące na pobliskim dachu nerwowo poderwało się do lotu, a ponad naszymi głowami rozległo się ponure krakanie. Czarne stwory szybując na tle pochmurnego nieba zatoczyły wokół dzwonnicy krąg, i na powrót wylądowały w miejscu swego startu. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu niczym dwaj obcy sobie ludzie, ja omiatałem wzrokiem po spacerniaku, a Młody wpatrywał się w grudki ziemi skutej lutowym mrozem.

- Daj spokój, powiedz co jest grane – ponownie

zagadnąłem.

- To ty daj mi spokój! - naskoczył na mnie. - Coś się przyczepił?! Może chcesz tego samego co Frantz?!

Z wściekłością wypowiedział swoje ostatnie słowa, a ja miałem wrażenie, że za moment rozplacze się jak dziecko.

Rękawem więziennej bluzy przetarł zasmarkany nos.

- Ja już tego dłużej nie zniosę – szepnął. - Rozumiesz? Ja już tego nie zniosę...

- Ale co się dzieje? - wpadłem mu w zdanie. - O co chodzi z tym Frantzem?

Chyba zbierał się w sobie, żeby mi coś wyznać.

- A jak myślisz? Co on mi robi? - szepnął i spojrzał na mnie oczami, które nagle zaszkliły się niczym bryły topniejącego lodu.

W mojej głowie znienacka pojawiły się brudne myśli.

- Kiedy ma służbę, co noc przychodzi do mojej celi i robi mi te... obrzydliwe rzeczy – słowa z trudem przeciskały się przez jego gardło. - Nie wiem co mam robić, ja już tego dłużej nie zniosę – zamilkł na moment. - Ja już nie mam sił - szepnął zdruzgotanym głosem.

- Próbowaleś mu się postawić? - nie bardzo wiedziałem co mam powiedzieć.

- Komu?! Frantzowi?! - mówił takim tonem, jakby mnie pytał czy jestem przy zdrowych zmysłach. - Niby jak? Mam się rzucić na niego z gołymi pięściami? Czy ty widzisz jak ja wyglądam?! -

rozłożył bezradnie ręce.

Siedziałem na tej cholernej ławce i zaczynałem żałować, że dzisiejszego dnia nogi przywiodły mnie w to miejsce.

- Co ja mam zrobić? Ropuch, doradź mi coś – zwrócił się do mnie błagalnym tonem.

Sięgnąłem po papierosa. Wciągnąłem dym w płuca i spojrzałem przed siebie.

Odezwałem się dopiero po kilku chwilach i powiedziałem mu to co czuję:

- Nie wiem Młody, naprawdę nie mam pojęcia, jak możesz z tego wybrnąć.

Przez kilka minut znowu siedzieliśmy w milczeniu.

- Jakież mam podłe życie! - z każdym słowem jego głos łamał się uderzając w coraz bardziej smutne tony.

- Wiesz, że moja matka tylko raz mnie odwiedziła? - zanosząc się szlochem zmienił temat. - Tak była tu.

I wiesz po co przyjechała? - nie czekał na moją odpowiedź. - Zjawiła się tutaj tylko po to, żeby mnie pograżyć. Moja matka, Ropuch, kurwa mać, moja własna matka dla której zrobiłem coś okropnego żeby ją chronić. No i dowiedziałem się, że teraz jest jej ciężko, że nie ma pieniędzy, że została sama z córką na utrzymaniu i synem mordercą w więzieniu. To nic, że facet ją lał jak sukę, że ją dręczył i poniżał, to nic że pił i bił, a jej dzieci miał za nic. Teraz to ja jestem ten zły i niedobry, to ja zgotowałem jej taki los. Nie zapytała mnie jak sobie tutaj radzę, czy jestem na tyle

silny, żeby przetrwać w tym miejscu, nie interesowało ją to, jak mi się tutaj wiedzie. Rozumiesz? Ona tylko gadała o swoich rachunkach i o tym, że nie ma na chleb. Potem był Szumski i bicie, następnie zjawił się Frantz i zaczął mnie upadlać. I takie to mam parszywe życie. Co ja mam zrobić?! - mocno zacisnęła splecione palce.

Siedziałem obok, słuchałem jego słów, lecz czułem się tak, jakbym był czemuś winien. Co miałem mu powiedzieć? Cóż mogłem rzec w takiej sytuacji? Miałem mu klarować, że więzienie to takie złe miejsce, gdzie człowiek musi stawić czoła całej zgryzocie świata? Nie wiem czego ode mnie oczekiwał, jedyne co mogłem zrobić, to tylko wysłuchać jego gorzkiej spowiedzi.

- Co ty zrobiłbyś na moim miejscu? - zadał mi nagle bardzo trudne pytanie.

- Nie wiem, może...

- Może powinienem wziąć przykład z Wolfa? - chyba wcale mnie nie słuchał, bo wpadł mi w zdanie, a ton jego głosu stał się dziwnie ożywiony. - Może powinienem postarać się o jakiś kozik i ukatrupić Frantza? - spojrzał mi w oczy. - Zadźgać warchlaka jak którejś nocy znowu przyjdzie mnie skrzywdzić.

- Oszalałeś?! - nerwowo rozejrzałem się na boki jakbym obawiał się, że ktoś mógłby usłyszeć te słowa.

- Zabiłem już jedną kanalię, to i zabiję drugą – syknął, a ja miałem wrażenie, jakby przez jego usta

przemawiał ktoś inny. Patrzył mi prosto w źrenice, a w jego oczach nie było już wilgotnych łez.

- Nikogo nie zabiłeś tylko spowodowałeś wypadek, a w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności jakiś pijaczyna stracił życie. Ot i koniec pechowej historii – bardziej chyba chciałem go pocieszyć niż uświadomić. - Chcesz mi wmówić, że masz w sobie instynkt mordercy? Błagam cię, chyba sam nie wierzysz w to co mówisz – wolno cedziłem każde słowo.

Kurski spojrzał przed siebie tępym wzrokiem i powiedział:

- Wiem tylko, że dłużej tego nie zniosę i zabiję albo jego albo siebie.

- Przestań chrzanić! - warknąłem, bo odniosłem wrażenie, że zaczyna sobie wmawiać coś bardzo głupiego.

- Tylko ty mógłbyś mi pomóc – stwierdził po chwili.

- Że niby co takiego?! - byłem zaskoczony.

Młody przysunął się nieco w moim kierunku i zbliżył swoją twarz na tyle, że poczułem na policzkach jego ciepły oddech.

- Dużo o tym myślałem – szepnął. - Pracujesz na stolarni, masz dostęp do narzędzi, załatw mi coś. No wiesz, jakiś szpikulec albo dłuto – w tym samym momencie przed oczami mojej wyobraźni jak żywe pojawiły się obrazy z przeszłości, o której chciałem zapomnieć. - Wiem, że możesz to zrobić.

- Ja nic nie mogę – coś we mnie zawrzało, ale starałem się mówić zupełnie spokojnym tonem. - Mądry z ciebie chłopak, więc nie wbijaj sobie do łba jakiejś durnej historii.

- Wiesz co, myślałem że jesteś inny – w moich uszach te słowa zabrzmiały jak pełne pretensji oskarżenie.

Z niedowierzaniem spojrzałem na twarz Młodego. Z jego oblicza uciekła bezradność i zdruzgotanie, a w ich miejsce pojawiło się coś pomiędzy złością a nienawiścią.

- Rozumiem, że czujesz się jakbyś był w potrzasku, ale nie wciągaj mnie w tą sytuację. Nie szukam kłopotów, a ty musisz znaleźć inny sposób, żeby sobie jakoś z tym wszystkim poradzić. Myślisz, że tylko ty masz tutaj problemy?

Na dźwięk moich słów, zaśmiał się w ponury sposób. Skierował wskazujący palec w moją stronę i powiedział:

- Dobry jesteś. Potrafisz odwrócić kota ogonem i umyć ręce, bo tak jest wygodniej, prawda? Jesteś niby przyjacielsko nastawiony, niby życzliwy, potem ciągniesz mnie za język i wypytujesz, ale jak proszę cię o przysługę to zaczynasz kluczyć i kręcić. Bawi cię moja szczerość?

- Kurwa mać człowieku, zastanów się co mówisz! - w moim mniemaniu ta dyskusja zaczynała zmierzać w absurdalnym kierunku.

- Co, uraziłem cię? Ja swoje przeszedłem zadając się

z tobą i z Wolfem, chociaż wielu mnie ostrzegało, żebym trzymał się od was z daleka. O tak, sporo opowieści słyszałem na twój temat.

Nie zapanowałem nad sobą. Złapałem go za poły więziennej bluzy i szarpnąłem nim jak lichym manekinem.

- Nie wiem co słyszałeś i nie obchodzi mnie to! - warknąłem przez zaciśnięte zęby. - Niczego ci nie załatwię, a od teraz trzymaj się ode mnie z daleka! - pchnąłem go i podniosłem się z ławki.

- A jednak umywasz ręce od mojej krzywdy – słowa, które mi rzucił były gorsze niż siarczyste policzek.

- A żebyś wiedział, że umyvam. Spierdalaj! - obróciłem się na pięcie i ruszyłem przed siebie.

W mojej głowie toczyła się lawina ciężkich myśli. *Pieprzony gnojek! Nie dam się wpędzić w żadną idiotyczną historię, nic z tego! Słyszałem sporo opowieści na twój temat – w duchu z kpina* powtórzyłem słowa, które przed chwilą usłyszałem. *Kurwa mać!* Nerwowym ruchem sięgnąłem po papierośnicę, włożyłem szluga w usta i zapaliłem.

Przez kilka kolejnych dni bezustannie rozmyślałem o tej całej kretyńskiej sytuacji. Jak to możliwe, że czasami nawet krótka rozmowa może zniszczyć znajomość i poróżnić dwoje ludzi, którzy tak wiele razem przeszli?

Dziś zastanawiam się, dlaczego miałem w sobie tyle

ślepej zawziętości? Co mnie wtedy opętało, że postanowiłem czekać aż Młody przyjdzie do mnie, ukorzy się i wypowie magiczne słówko – przepraszam. Czy to była moja próżność? Albo też chęć udowodnienia czegoś innego? Sam nie wiem czy czuję się winny, ale myślę, że to wszystko nie musiało się skończyć w tak parszywy sposób. I nie chodzi o to co mogłem mu załatwić, ale o to, że nasza znajomość umarła tamtego lutowego dnia. Wtedy rozmawialiśmy ze sobą po raz ostatni w życiu i nigdy więcej nie usiedliśmy wspólnie przy jednym stole.

Dziś mam tylko pretensje do siebie, że nie zrobiłem niczego aby to zmienić.

Wspominałem już o tym, że czasami ktoś ze skazańców „dostawał szału”, co my więźniowie nazywaliśmy odwiedzinami zmory. Nigdy nie znalazłem odpowiedzi, dlaczego człowiek będący na granicy wyczerpania fizycznego i psychicznego nagle znajduje w sobie tyle siły, że jest w stanie zdemolować własną celę, kopać w drzwi, tłuc pięściami w ścianę i wydzierać się wniebogłosy. Na zawsze dla mnie pozostanie tajemnicą, skąd nagle w wycieńczonym organizmie pojawia się tyle nieokiełznanej energii? I jak wiecie, klawisze stosowali wtedy najprostszy, lecz najbardziej skuteczny środek zapobiegawczy.

Solidny łomot.

Kiedy taka sytuacja miała miejsce na bloku, już następnego dnia wiedzieliśmy kto oberwał. Były dwa rozwiązania, albo taki osobnik pojawiał się z sińcami na twarzy, albo znikał na kolejną dobę w karczerze gdzie miał szansę ochłonać.

Tamtej nocy słyszałem, że po drugiej stronie drzwi działo się coś niedobrego. Z głębokiego snu wyrwał mnie czyjś wrzask. Gdy świat otula ciemność, a na więziennych korytarzach panuje głucha cisza, kiedy echo niesie ponury odgłos kroków stąpających po drewnianych podestach, to chyba jesteście sobie w stanie wyobrazić z jaką siłą w ten spokój potrafi uderzyć ludzki krzyk. Zamieszanie trwało kilka minut, padały jakieś komendy, a potem coś tąpnęło i rozległ się tupot nóg zbiegających po schodach. Nie byłem aż tak bardzo ciekaw, żeby zwlec się z wyrka, podejść do drzwi i przytulić ucho do szpary w futrynie. To była zimna, lutowa noc. Naciągnąłem koc na głowę i pragnąłem tylko czym prędzej zapaść w sen. Nim to się stało, usłyszałem jeszcze jak zegar na wieży wybił godzinę trzecią.

Siedziałem samotnie przy stole i przeżuwałem pierwszy kęs śniadania. Nagle kątem oka dostrzegłem, że z prawej strony zbliża się do mnie czyjaś postać. Obróciłem wzrok w tamtą stronę. To był Irek Kaczmarek, funkcyjny z lazaretu.

- Wolne? - zapytał chyba z grzeczności i nie czekając

na moją odpowiedź położył swoją tacę. Usiadł naprzeciwko. - Twój kumpel, ten młodzik, który się kręcił obok ciebie i Wolfa, nie żyje.

Na dźwięk tych słów jedzenie omal nie stanęło mi w gardle.

- To on w nocy zaszalał na bloku. Musiała być chyba niezła zadyma. Takiego cyrku to jeszcze nigdy nie było – pociągnął solidny łyk kawy, a ja wpatrywałem się w niego zaskoczonym wzrokiem. - Dozorcy najpierw przywlekli na izbę Frantza z takim prętem wbitym w udo – rozstawił nieco dłonie. - Kilka centymetrów wyżej, a dostałby prosto w jaja. Miał facet farta, oj mówię ci miał farta jak cholera – pokręcił głową tak, jakby sam nie mógł uwierzyć w swoje słowa. - Taki pręt – znowu rozłożył ręce – gruby jak kciuk, długi na dziesięć cali, a na jednym końcu zaostroszony w szpic.

- Ale co z Młodym? Zatlukli go? - i chociaż szeptałem to czułem jak głos mi drży.

- Nie – odparł lekko zawodząc – z tego co opowiadali strażnicy to przeleciał przez barierkę i gruchnął łbem o posadzkę. Skręcił kark. Skonał na miejscu.

Patrzyłem z niedowierzaniem na twarz człowieka, który siedział przede mną i czułem się tak, jakby ktoś z całej siły walnął mnie prosto w trzewia. Ta wiadomość przerastała granice mojej wyobraźni. W mgnieniu oka pewne sprawy stały się po prostu oczywiste. Nie wiem czy Młody powiedział jeszcze

komukolwiek o swoim problemie. Wiem natomiast, że Niebieski Rysio był powiązany z tą historią. To on musiał mu skombinować ten pręt, bo widziałem jak poprzedniej niedzieli szeptali coś między sobą na spacerunku. Poza tym człowiek, który prawie całe swoje ciało miał pokryte niebieskimi tatuażami pracował w warsztacie ślusarskim. Dodając do siebie te dwa fakty, nasuwało się tylko jedno rozwiązanie.

Wacław Kurski nie doczekał dnia swoich dwudziestych urodzin. Zginął w mroźną, zimową noc 25 lutego 1933 roku. Prawdę o jego śmierci znało trzech ludzi, Rudolf Frantz, który o dziwo miał wtedy służbę i dwóch klawiszy, którzy mu towarzyszyli podczas interwencji. Młodego w środku nocy dopadła zmora, a reakcja mundurowych była czysto regulaminowa. Otworzyli drzwi celi, wkroczyli do środka i wtedy, według ich zeznań, rozpętała się jatka. Ponoć Młody z krzykiem na ustach rzucił się na Frantza i dźgnął go ostrym prętem w udo. Drewniane pałki poszły w ruch, ranny funkcjonariusz runął na plecy, Kurski potknął się o niego, ale zdążył pchnąć jednego z dozorców z taką siłą, że tamten aż wypadł z celi. Klawisze stracili kontrolę nad rozjuszonym młodzikiem. Bóg jeden raczy wiedzieć jak było naprawdę. Dlaczego nagle wszyscy znaleźli się na podeście przed celą? Jak to możliwe, że trzech wyszkolonych ludzi nie potrafiło obezwładnić takiego

cherlaka jakim był Młody? No i w końcu, jakim cudem Kurski fiknął przez barierkę i runął w dół z drugiego piętra? Ciało spadając z takiej wysokości nie ma najmniejszych szans przy zderzeniu z kamienną posadzką.

Młody zginął na miejscu.

Nawet jeśli nie skręciłby karku, to zapewne i tak odniósłby poważne obrażenia wewnętrzne, które dopełniłyby dzieła.

W sobotnie przedpołudnie na stolarni zjawił się dozorca Dawid Lepke. W dłoni trzymał zwiniętą w rulon gazetę. Podeszedł do mnie i powiedział:

- Zostaw tę robotę i zabierz się za zbijanie skrzyni – spojrzałem mu w oczy, a on zrozumiał, że nie musi mi tłumaczyć o jaką skrzynię chodzi. Miał świadomość, że wieść o nocnym incydencie zdążyła już obieć całe więzienie – tylko żeby była gotowa zanim skończycie pracę.

- Tak jest panie dozorczo – odpowiedziałem w myśl regulaminu.

Lepke obrócił się na pięcie i wyszedł.

Przez moment wpatrywałem się w przedmiot, który zostawił na blacie. Nie wiem czy położył tam gazetę umyślnie czy po prostu o niej zapomniał. Wolałem chyba myśleć, że ciągle pamiętał, iż jest mi coś winien za naprawę pokryw gramofonu.

Obsada na stolarni zmieniała się wraz

z upływem miesięcy i tylko ja trwałem tutaj od lat. Jaśki już dawno temu opuścili mury wronieckiego więzienia, potem pojawiali się tutaj różni więźniowie, ale większość z nich nie miała pojęcia o pracy w drewnie. Na szczęście jakiś czas temu przydzielono tu etat Konradowi Malinowskiemu, na którego wołaliśmy Koniu. Nawet nie wiem kto nadał mu takie śmieszne zdrobnienie od tak poważnego imienia, ale ta ksywka, natychmiast do niego przylgnęła.

- Koniu! - krzyknąłem na tyle głośno, żeby usłyszał mój głos, bo akurat pracował w drugim pomieszczeniu.

- Co jest panie majster? - odparł z promiennym uśmiechem wychylając się zza futryny drzwi.

- Ile razy mam ci mówić, żebyś mnie tak nie nazywał?

- właściwie powiedziałem to na odczepnego, bo i tak wiedziałem, że po dobroci nic nie wskóram. - Weź kartkę, ołówek i chodź tutaj. Trzeba pociąć deski – rzuciłem w jego kierunku.

Chwilę później podyktowałem mu co potrzebuję.

W lutym 1933 roku na stolarni pracowało jeszcze czterech chłopca, ale to Koniu był najbardziej bystry i rozgarnięty. Miał też jeszcze jedną bardzo wielką zaletę, za którą powinien otrzymać laur idealnego pracownika.

Koniu był bezproblemowy.

Nigdy nie zastanawiał się tym, że właśnie robi coś innego, że ma mnóstwo pracy i nie zadawał tak jak

inni najgłupszego pytania pod słońcem – dlaczego ja? Miło się z nim pracowało.

Kiedy on przycinał deski, z których miałem zbić trumnę dla Młodego, wykorzystałem chwilę wolnego czasu, żeby zerknąć na łamy prasy. Rozłożyłem arkusze papieru pokryte drukarską farbą i ślizgałem się wzrokiem po tytułach artykułów. Większość informacji dotyczyła sytuacji w Niemczech. Nawet nie wiem dlaczego, ale nagle zerknąłem na szczyt głównej strony i przeczytałem w myślach – *Sobota, 25 lutego 1933 roku. Cena za egzemplarz 20 groszy. Dziś 10 stron* – a całkiem z prawej w małej prostokątnej ramce pisało – *Imieniny obchodzą: Adam, Antonina, Cezary, Lubart i Wiktor*. Ostatnie imię przykuło moją uwagę. Miałem wrażenie, że drukarska czcionka, którą wytłoczono ostatni wyraz, zaczyna puchnąć i robi się bardziej wyraźna niż pozostałe. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w sześć liter. Wszystko inne zaczęło znikać, zupełnie jakbym w dłoniach trzymał pusty arkusz kremowego papieru, na którym wydrukowano tylko jedno słowo - Wiktor.

Nie wiem ile czasu stałem i gapiłem się pustym wzrokiem w litery tworzące imię człowieka, który zmienił moje życie.

Wiktor.

Wiktor Kozłowski – szepnąłem w duchu.

Znienacka w mojej głowie rozpętała się burza

wspomnień. Nawał myśli był tak szybki i nieokiełznany jak nurt rwącej rzeki. W wyobraźni jak żywe jawiły się pojedyncze slajdy wspomnień, ale emocje związane z tamtymi chwilami nie nadążały za wizerunkiem obrazów. Pędzimy przed siebie ulicami Kalisza. Mijamy ciemne zaułki. Wpadamy w bramę spowitą mrokiem, za naszymi plecami odgłos rozpędzonych kroków. Kluczemy w wąskich przejściach pomiędzy budynkami, biegniemy przez puste i ciemne podwórka. Ostre dźwięki policyjnych gwizdków wydają się być z każdej strony. Otaczają nas! Nocną ciszę rozsadza odgłos zelówek uderzających o brukową kostkę. Są wszędzie! Pętla się zacieśnia. Chowamy się w cieniu za hałdą węgla...
- Gotowe panie majster! - usłyszałem za plecami głos Konia, a zaraz potem łomot desek uderzających o posadzkę.

Oderwałem wzrok od gazety i spojrzałem na Malinowskiego. Nie zdążyłem jeszcze otworzyć ust, kiedy do moich uszu dotarły słowa:

- Tak tak, wiem, miałem cię tak nie tytułować – posłał mi rozbrajający uśmiech. - To wszystko? Mogę się zająć swoją robotą?

- Taaa – odparłem i udałem, że ciężko wzdygam.

Koniowi obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drugiego pomieszczenia. Kiedy mijał próg, usłyszałem jak rzucił do pozostałych:

- Co się kurwa mać tak z tym guzdracie?! Myślicie, że

ja będę wszystko robił?!

Ktoś z pozostałych coś mu odburknął, a Koniu znowu ryknął:

- Bierz się do roboty albo zaraz zasadzę ci takiego kopa, że się zesrasz!

W pomieszczeniu obok zapanowała cisza i nikt inny już nie oponował.

Zasady na stolarni były proste. Ja trzymałem pieczę nad warsztatem i wszyscy o tym wiedzieli, a to, że nieco faworyzowałem Konia było tylko jego zasługą. To był facet, który szybko przyswajał tajniki stolarki, chociaż nie był to jego wyuczony fach. Ważne, że wykonywał swoją pracę solidnie i w odpowiednim tempie. Faktem było, że za dużo sobie pozwalał w stosunku do innych, ale to wynikało już z jego agresywnej natury. Koniu to był prawdziwy zawadiaka, a umiłowanie do bijatyk od wczesnych, młodzieńczych lat bezustannie wpędzało go w kłopoty. Miał już za sobą dwa wyroki, aż w końcu przesadził i jako recydywa trafił do wronieckiego więzienia, żeby odsiedzieć pięć długich lat. W jego wypadku powiedzenie, że pozory mogą mylić, sprawdzało się w stu procentach. Malinowski nie miał atletycznej, postawnej sylwetki. Prezentował się całkiem zwyczajnie. Krótkie blond włosy, pogodna twarz, szczupła budowa ciała i chociaż miał dwadzieścia pięć wiosen na karku, wyglądał na zdecydowanie starszego. Patrząc na niego, aż trudno

było uwierzyć, że ktoś taki, ma skłonności do bójek. Nie wiem, dlaczego matka natura obdarza niektórych taką cechą. Sądzę jednak, iż tacy ludzie mają bardziej rozwinięty instynkt przetrwania niż, że tak to ujmę, w miarę normalni osobnicy.

Położyłem deski na stole. Niby prosta rzecz, gwoździe, młotek, przyłożyć, uderzyć, zaklepać. Jednak w mojej głowie panoszyło się zbyt wiele rozbieganych myśli, które sprawiały, że czułem się kompletnie rozbity. Chaos panujący w umyśle obudził nieprzyjemne drżenie w całym ciele. Jeszcze nigdy nie czułem się tak podle jak dzisiejszego przedpołudnia. Najpierw miazdząca wiadomość o śmierci Młodego, potem widzę w gazecie wydrukowane imię i w mgnieniu oka cała przeszłość powraca z bolesnym rykiem. Głowa pęcznieje od nadmiaru wrażeń, bo każda myśl jest jak pocisk zmierzający w innym kierunku. Sam nie wiem co bardziej mnie przytłoczyło, świadomość o śmierci Kurskiego czy krzyk odległych wspomnień... a może jedno i drugie? W pewnym momencie zreflektowałem się, że stoję bez ruchu, gapię się na deski i nie wiem za co się chwycić. Chyba zacząłem coś niewyraźnie mamrotać pod nosem, bo nagle usłyszałem głos Konia:

- Co się dzieje panie majster?

Zaskoczonym wzrokiem spojrzałem na twarz, która

wychyliła się zza futryny drzwi.

- Nudzisz się?! Nie masz zajęcia?! - warknąłem w jego kierunku.

- Może ja się tym zajmę? - zapytał łagodnym tonem, a moje pytania chyba puścił mimo uszu. Jednocześnie kiwnął głową, patrząc na stertę desek, która leżała przede mną.

Na chwilę utkwilem wzrok w jego obliczu i pomyślałem – *A czemuż by nie?*

- Podejdź tu – rzuciłem i w kilku słowach wyjaśniłem mu w czym rzecz.

Kiedy Koniu zbijał skrzynię, ja dołożyłem trocin do pieco-kuchni, potem usiadłem na zydelku, wsparłem się plecami o ciepłe kafle i zapaliłem papierosa. Chciałem tylko dwóch rzeczy, zatrzymać te wszystkie galopujące myśli i zapanować nad tym irytującym drżeniem, które czułem w każdym zakamarku mojego ciała.

- Coś taki spięty panie majster? - człowiek, który wbijał gwoździe w deski, rzucił w moim kierunku.

Wzięłem głęboki oddech i patrząc w posadzkę, odparłem:

- Nazwij mnie tak jeszcze raz, a Bóg mi świadkiem, że postaram się abyś dostał miejscówkę na łodygowni – jeśli mam być szczery to przyznam się, że słówko „majster” wcale mnie tak bardzo nie drażniło, ale po prostu Koniu trafił na zły czas.

- Jasna sprawa, nie chciałem cię urazić. Ty tu

szeffujesz...

- Tak, masz rację. Ja tu szeffuję – wpadłem mu w zdanie - i masz się do mnie zwracać Ropuch. Koniec kropka. Kapujesz?

- Kapuję – przytaknął. – Ropuch koniec kropka – wypowiedział jednym tchem, a w jego głosie usłyszałem delikatne rozbawienie.

Wyczułem ten kpiący sarkazm.

- Koniu zbastuj – spojrzałem na niego - to nie jest dobry moment – powiedziałem całkiem poważnie, bo naprawdę nie miałem ochoty na jakiegokolwiek dowcipy.

- Rozumiem, już nie nadwyreżam – uniósł lekko dłonie i wykonał taki gest jakby się delikatnie odepchnął od niewidzialnego muru. - Ropuch – wypowiedział moją ksywkę i ponownie zajął się robotą.

- Właśnie tak – szepnąłem pod nosem - po prostu Ropuch.

Przyjemne ciepło rozchodziło się wzdłuż moich pleców, zamknąłem oczy i nagle zaczęły znikać te wszystkie ponure myśli, a moja pamięć cofnęła się o ponad dwie dekady. Zupełnie jakbym usiadł w wehikule czasu, wprowadził datę z przeszłości, która kojarzyła mi się ze swobodą i beztróską, a potem wcisnął magiczny przycisk i udał się w podróż.

Ciepłe kafle pieco-kuchni były tak samo rozgrzane jak

bordowe cegły komina sterczącego ponad wysmołowanym dachem...

- Trufel przesun trochę swoje spocone dupsko! - Pesteczka warknął z udawaną wściekłością. – Może byś zwrócił całą swoją zasraną uwagę, że kant komina ugniata mój szlachetny grzbiet!

- To usiądź z drugiej strony obleśny padalcu.

- Tak?! Taki jesteś mądrała? Dobrze, ale kiedy to zrobię to zapomnij, że dostaniesz fajkę. Będiesz wtedy tylko patrzył jak szefowie walą dymka – brązowe oczy osadzone na piegowanej twarzy posłały mu spojrzenie zwycięzcy.

Zachichotałem przysłuchując się ich rozmowie.

- Czego się cieszysz żabi pomociu? - Trufel syknął w moim kierunku. Wziął zamach, żeby trzepnąć mnie w ramię, ale ja byłem szybszy, zrobiłem unik, a on przyłożył pięścią w cegły.

Parsknęliśmy śmiechem widząc jak nasz otyły kumpel zajęczał z bólu, a zaraz potem zaczął wachlować w powietrzu dłonią jakby wierzył, że to w czymkolwiek pomoże.

- Pokarało tłuste ciało! – zadrwiłem.

- No i widzisz jaki jesteś głupi? - Pesteczka szturchnął Trufla. - Wystarczyło się grzecznie przesunąć, wszyscy byliby szczęśliwi, a ty nie poharatałbyś swoich pulchniutkich paluszków. Człowieku, kiedy ty w końcu zmądrzejesz – rzekł głosem udającym

politowanie. - Nie musisz tego robić dla nas, nie musisz tego robić dla siebie, ale zrób to dla swojej matki – nasz piegowaty kumpel jak zwykle zaczął prowokować.

- Cmoknij mnie w dzyndzel.

- Żebyś ty jeszcze miał ten dzyndzel – rzucił jego rozmówca.

- Facet, przestań się mądrzyć – najbardziej postawny z naszej trójki chyba tracił cierpliwość. - Dawaj fajki.

- Chcesz tego papieroska? - Pesteczka zakręcił w palcach białym rulonikiem. - Chcesz? - spojrzał spode łba. - To musisz zrobić prosiaka.

- Nic z tego!

- No dajesz Trufel, zrób świniaka – włączyłem się do dyskusji, bo też chciałem usłyszeć to przekomiczne chrupkanie.

- Jedziesz z tym światem – zachęcał Pesteczka.

Uwielbiałem, kiedy Trufel mięśniami twarzy w nienaturalny sposób wykrzywiał swój nos, a potem wydawał dźwięki, jakich nie powstydziliby się rasowy knurek. To było po prostu piękne.

Kiedy chrupkał ja z Pesteczką pokładaliśmy się ze śmiechu.

- A ty chcesz zapalić? - po chwili zwrócił się do mnie.

- To zakumkaj jak na żabkę przystało.

Wzięłem głęboki oddech, ale kiedy zacząłem naśladować odgłos jaki można usłyszeć na mokradłach, gdzieś na szczycie przełyku zawisła mi

ślina, a w moich ustach rozległ się dziwny rechot.

- Co to był za bulgot? Żabi skrzek stanął ci w gardle?

- Pesteczka prawie kwiczał.

- Dałem popis jak stara ropucha – powiedziałem po chwili, a chłopaki zrywali boki.

- Chyba stary ropuch – wtrącił Trufel, który trząsał się ze śmiechu jak galareta.

- Od dzisiaj zostajesz naczelnym ropuchem na Złoty Dachach – powiedział Pesteczka i wręczył mi papierosa.

Od tamtej chwili przyłgnęło do mnie to przezwisko.

Kochałem te chwile, kiedy w letnie, upalne dni, chowając się w cieniu ceglastego komina, przesiadywaliśmy na płaskim dachu kamienicy, w której mieszkaliśmy. Stąd mieliśmy idealny widok na całą dzielnicę. Złote Dachy jak na dłoni. Z tego miejsca nie było widać, że jest to siedlisko biedoty i robotniczych rodzin. Były tylko dachy, które miały w sobie jakąś cudowną magię. Wiem, że to dziwaczne, ale zawsze kiedy tam byłem czułem się tak, jakbym spoglądał na inny świat. Jako gówniarze łąziliśmy tam palić fajki, które Pesteczka podbierał swojemu ojcu. Byliśmy poza zasięgiem ludzkich oczu i uszu, można było swobodnie jarać szluga i przeklinać. Kiedy dojrżeliśmy do wieku, że każdy z nas mógł bez problemu kupić w sklepie wódkę, chodziliśmy tam, żeby posiedzieć i pogadać o bardziej poważnych sprawach. Ech, ileż burzliwych dyskusji

miało tam miejsce! Ileż szalonych deklaracji padło z naszych ust, że nim dobijemy do dwudziestki, to Złote Dachy będą dla nas już tylko wspomnieniem!

- ...uch skończone! - zadźwięczało mi w uszach.

Spojrzałem w lewo. Koniu stał wsparty o skrzynię i przyglądał mi się z badawczym wzrokiem.

Podniosłem się z zydelka i podszedłem do stołu.

- Wygląda w porządku – rzekłem po chwili. - Wiesz co zrobiłeś? - zapytałem.

- Skrzynię – odparł.

- No to chyba oczywiste. Tylko, że to nie jest zwykła skrzynia – na moment zawiesiłem głos i dodałem - to trumna.

- Trumna? - powtórzył z niedowierzaniem.

I tak od słowa do słowa dałem się wciągnąć w rozmowę. Opowiedziałem mu o zwyczajach jakie panują w tym więzieniu i o tym, że trochę takich skrzyń już w tym warsztacie zrobiłem.

Właściwie to była taka nasza pierwsza, dłuższa rozmowa, która nie tyczyła się pracy. Malinowski był osadzony na bloku dla pospolitych, więc mieliśmy z sobą kontakt jedynie w stolarni i na spacerniaku.

- Pewnie słyszałeś, co dzisiejszej nocy zdarzyło się na bloku B – moje słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Ta, klawisze mówili, że zdarzył się wypadek. Słyszałem, że ten koleś co fiknął to był twój kumpel.

Spojrzałem mu prosto w oczy i odparłem:

- Można tak powiedzieć. Dobrze go znałem.
 - Niech mu ziemia lekką będzie – powiedział i zaraz potem wsparł gotowe wieko skrzyni o ścianę.
- Wątpię, żeby cokolwiek obchodziła go śmierć kogoś z kim nie zamienił nawet słowa.

Jeżeli ktoś by mnie zapytał czy świat i życie są sprawiedliwe, to bez wahania odpowiem, że nie. Jaka to sprawiedliwość, skoro taki człowiek jak Frantz po śmierci Kurskiego zebrał jeszcze laurki i pochwały? Nawet dostał sowite odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu poniesiony w trakcie wykonywania obowiązków służbowych. Rana, którą odniósł podczas interwencji wykluczyła go z pracy prawie na dwa miesiące, a w czasie jego nieobecności, dowodzenie nad blokiem przejął Mroczkowski.

Nie mam pojęcia w ilu celach na bloku B Frantz oferował swoją propozycję przyjaźni. Sama próba rozmowy z innymi więźniami na ten temat mogła mieć katastrofalne skutki. Kto przy zdrowych zmysłach opowiadałby o czymś takim? Narazić się na plotki w takiej sprawie? Rzucić na siebie cień podejrzenia? Dać innym powód do głupiego gadania? Wiem natomiast, że Frantz był na tyle cwany i na tyle ostrożny, że doskonale zacierał za sobą ślady.

Oficjalnie śmierć Młodego została uznana za nieszczęśliwy wypadek i nikt nie został pociągnięty do jakiegokolwiek odpowiedzialności. To zajście

zaowocowało czymś zupełnie innym. Zostały wprowadzone nowe wytyczne i od tamtej pory nikt z więźniów nie mógł wejść na blok zanim nie został przeszukany. W naszą rutynę wkroczyły trzy nowe komendy:

- Twarzą do ściany!
- Ręce wysoko!
- Stań w rozkroku!

Burzliwy rok 1933 tak jak żaden inny zapadł mi w pamięci i nie chodzi tylko o to, że tak wiele działo się poza murami więzienia.

W Berlinie spłonął Reichstag. Naziści marszowym krokiem zaczęli wprowadzać swoją brutalną politykę „rasy panów”, a w odwecie światowa diaspora żydowska nawoływała do bojkotu niemieckich produktów.

W Polsce byliśmy dumni z tego, że nasz człowiek, polski pilot Stanisław Skarżyński, siedzący za sterami polskiego samolotu pokonał Atlantyk! To był nie lada wyczyn, a wieść o tym obiegła cały świat. Fakt, Skarżyński ustanowił rekord odległości lotu, ale warto też wspomnieć, że miał niebanalne poczucie humoru, bowiem swój przelot odbył nie w drelichowym kombinezonie lotniczym, lecz w eleganckim, prążkowanym garniturze.

Po drugiej stronie oceanu amerykańanie ciągle walczyli z wielkim kryzysem, Roosevelt podpisał słynny

dekret zwany Nowym Ładem Gospodarczym i w końcu zniesiono tam prohibicję.

Działo się wiele, ale to było daleko stąd. Dla nas, dla osadzonych w Centralnym Więzieniu we Wronkach, dla ludzi żyjących w tym miejscu, to co tworzyło rzeczywistość po drugiej stronie ceglatego muru, stanowiło odległy kraniec wszechświata. Natomiast dla mnie, rok 1933 był jeszcze o tyle szczególnie, że wkraczałem w wiek chrystusowy. Ileż to razy słyszałem, że wtedy wszystko się zmieni, kiedy tylko przekroczę magiczną liczbę 33 lat życia, to z dnia na dzień stanę się innym człowiekiem, a świat zyska nowe oblicze. Co tu dużo mówić, skoro wszyscy dookoła twierdzili to samo, przyjąłem to za pewnik. Cierpliwie czekałem na dzień swoich urodzin i na te proroctwa, które miały się wtedy ziścić.

Problem w tym, że one opętały mnie nieco wcześniej. Każdy człowiek, który myśli o przyszłości i snuje wizje swego życia, pragnie i oczekuje pozytywnych zmian. Czegoś miłego. Czegoś co rozpali nadzieję, doda otuchy i wiary w lepsze jutro. Takie nastawienie jest całkiem naturalne. Ja też miałem swoje złudzenia i na pewno nie spodziewałem się tego, że osaczy mnie przygnębienie i że spojrzę w oczy nicości. Huśtawka nastrojów, dręczące myśli, zrezygnowanie... niby to znałem, niby trwałem w tym od lat, ale tak naprawdę, nie miałem pojęcia o mrocznej stronie ludzkiego umysłu. Wydaje mi się, że tym przełomowym

momentem, kiedy zacząłem zapadać się w koszmar był właśnie ten dzień, kiedy Koniu zbijał skrzynię, w której spoczęły zwłoki Młodego.

Tak.

Jestem tego pewien.

Począwszy od tamtego dnia powoli i konsekwentnie schodziłem coraz niżej, by w końcu stanąć u bram własnego piekła.

Jednak pomijając te wszystkie ekscytujące wydarzenia, które miały miejsce w kraju i na świecie, pomijając moje duchowe zmiany i przeżycia, rok 1933 naprawdę był wyjątkowy. Tej wiosny świat osadzonych i klawiszy, został napiętnowany największym przekleństwem ludzkości.

W murach Centralnego Więzienia we Wronkach pojawiły się wszechwładne pieniądze.

Ta informacja, to była prawdziwa bomba, która eksplodowała w tygodniu poprzedzającym święta wielkanocne. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z więźniów przypuszczał, iż nadejdą tak rewolucyjne zmiany! Żyliśmy według twardych szablonów wzniesionych na fundamentach służbowych regulaminów i przepisów. Więzienne życie to monotony cykl toczący się jednostajnym i beznamiętnym tempem. Każdy dzień jest kopią poprzedniego, tygodnie zamieniają się w miesiące, miesiące w lata, a bezbarwna rutyna włada twoim istnieniem. I teraz

wyobraźcie sobie, że nagle w tym hermetycznym świecie wybucha jakaś afera, która burzy ten cały parszywy porządek, a przestrzeń dookoła zaczyna wrzeć i kipieć. To tak, jakby cisnąć potężny gład na spokojną toń wody, albo wypełnić ciszę przerażającym krzykiem. Tym właśnie była wiadomość o pieniądzach.

Chyba nikt nie miał pojęcia, dlaczego polskie władze postanowiły wcielić w życie taki projekt... Może to był wymóg czasów? A może właśnie tego oczekiwała od II Rzeczypospolitej reszta cywilizowanej Europy? Jak do tej pory w Polsce wszystkie sprawy związane z przestępczością funkcjonowały według słynnego Kodeksu Makarewicza. Ten dokument skrupulatnie określał całą listę przestępstw, zasady odpowiedzialności, system kar, środki zapobiegawcze, przedawnienia, zwolnienia, ale nie było tam ani słowa na temat pracy zarobkowej więźniów. I nagle z dnia na dzień ten system, który był szczelnie obwarowany przepisami i regulaminami miał błyskawicznie wprowadzić skomplikowane zmiany. Na początku nawet klawisze pukali się w czoło twierdząc, że albo świat już kompletnie oszalał albo komuś w rządzie odjęło rozum. Jednak kilka tygodni później, mieli już na ten temat zupełnie inne zdanie...

W niedzielę na spacerunku dwóch

cwaniaczków z bloku dla pospolitych, siedziało tuż obok i snuło swoje fantazje:

- Człowieku niebawem się przekonasz, zaczniemy tutaj zarabiać poważną mamonę, a kiedy wyjdziemy z tego pudła – ten który mówił najpierw westchnął z nieukrywaną rozkoszą, a zaraz potem dodał - będziemy się tarzać w szmalu jak świnie w gnoju!

Uśmiech politowania błysnął pod moim nosem, bo wiedziałem na co liczyli. Nie na to, że uda im się coś zaoszczędzić ze skromnego grosza, który zarobią, lecz na wymuszeniach, przekrętach i kontrabandzie. Byłem też ciekaw, czy zdają sobie sprawę, że jest tutaj wielu kolesi, którzy myślą w podobny sposób, a walka o ten rynek będzie brutalna i krwawa. Coś o tym wiedziałem, a blizny na wewnętrznej powierzchni mojej dłoni, doskonale mi przypominały, żebym trzymał się z dala od takich tematów. Chyba powinienem być wdzięczny Bogu za to, że nie podarował mi smykałki do kupiectwa.

Jedni liczyli na poważne zyski, inni myśleli, że czasami pozwolą sobie na odrobinę luksusu, a niektórzy w swojej całej naiwności byli przekonani, że uda im się finansowo wesprzeć bliskich. Ja natomiast zaliczałem się do tej grupy skazańców, która podchodziła chłodno do sprawy, bo jeszcze nie znaliśmy żadnych konkretów. Na razie dotarła do nas informacja, że prawo gwarantuje więźniom możliwość zarabiania pieniędzy za wykonywaną

pracę podczas odbywania wyroku i że począwszy od przyszłego miesiąca, system zostanie wcielony w życie. Nikt z więźniów nie wiedział za jaką stawkę będziemy pracować i w jaki sposób będą rozliczane nasze wypłaty.

Znaleźliśmy się w sytuacji, którą Artur Kamiński, nazywany przez więźniów Skarbowy, genialnie określił podczas wielkanocnego śniadania:

- Teraz to jest „trzy en wu”.

- Że niby co? - zaskoczonym głosem zapytał jeden ze skazańców.

- Takie urzędnicze powiedzenie – mówił w taki sposób, jakby w jego pamięci odżyły dawne wspomnienia. - Kiedy mieliśmy do czynienia z sytuacją kompletnie niezrozumiałą, to zawsze się mówiło, że to jest „trzy en wu” czyli nikt nic nie wie – dokończył wolno cedząc każde słowo.

Osoba Kamińskiego była chyba najbardziej tajemniczą postacią we wronieckim więzieniu. Trafił tutaj w zeszłym roku z wyrokiem trzech lat. Na wolności ponoć piastował poważne stanowisko w bydgoskiej izbie skarbowej i stąd też wzięła się jego ksywka. Żaden skazaniec nie znał jego przeszłości, a on sam, z nikim się nie zadawał i trzymał się od nas na dystans. Krążyły różne plotki, ale wszyscy wiedzieli, że klawisze roztaczają nad nim parasol ochronny i dzięki temu nikt go nie nękał.

Mówili, że Kamiński dopuścił się defraudacji potężnych pieniędzy, a jego proces był utajniony, bowiem w całą sprawę byli zamieszani poważni oficjele państwowi i kilku ważniaków z największego banku w Polsce. To musiała być cholernie delikatna sprawa. Obiło mi się o uszy, że udowodniono mu udział w finansowym spisku, lecz pieniędzy nigdy nie odnaleziono. Najlepsze było to, że chodziło o państwowy szmal i niektórzy żartowali, że w sumie to nie wiadomo kogo obrobił. Trudno powiedzieć ile w tej gadaninie było prawdy, bo ludziom roily się we łbach przedziwne historyjki. Słyszałem opowieści, że miał tajemniczego współlnika, że niby wziął winę na siebie, potem ktoś klepał dziobem, że został wrobiony. Ploty, plotki, ploteczki. Ludzie chyba potrzebują czasami dawki barwnej sensacji, żeby na chwilę oderwać się od własnej szarości. Jednak domysły, że Kamiński był przy forsie nie zostały wysane z palca. Po pierwsze, jako świeżak tylko jedną dniówkę spędził na łodygowni. W historii tego więzienia nie było żadnego skazańca, który w tak rekordowym czasie awansowałby na inne stanowisko. Skarbowy już następnego dnia trafił na magazyn wyrobów gotowych i dostał złotą fuchę. Jego obowiązkiem było prowadzenie magazynowej kartoteki. I z tego co mówili chłopaki to nie kto inny, a żyjący jeszcze wtedy aspirant Szumski, wcisnął go na tą posadkę. Po drugie, skoro strażnicy byli mu

przychylni to musiał im płacić, a oni nie zadowalali się byle ochłapem.

Kamiński od pierwszej chwili wydał mi się człowiekiem niegodnym zaufania. Nawet nie zamieniłem z nim słowa, ale wystarczyło, że przyjrzałem się jego palcom. W swoim życiu znałem tylko jednego człowieka, który w identyczny sposób miał tak wypielęgnowane i zadbane dłonie. Paznokcie o zdrowym połysku, żadnych zgrubień, zadziórów czy odstających skórek. Takie dłonie miał Wiktor Kozłowski, a sama myśl o jego osobie budziła we mnie tylko złe obawy. Tak, wiem o czym teraz myślicie. Zgadza się. Miałem swoje uprzedzenia, może i bezzasadne, ale miałem.

Dwa razy w miesiącu przychodziła do Skarbowego w odwiedziny piękna, elegancka kobieta. Chłopaki zachwycali się jej urodą. Mówili, że wygląda jak modelka z żurnala. Zawsze odziana w ekskluzywne ciuszki, puszyste futra, szykowną biżuterię i rozsiewająca dookoła siebie zniewalający zapach perfum, którego aromatyczna woń dryfowała po całej sali odwiedzin. Miała w sobie to coś, co sprawiało, że oczy wszystkich wędrowały w jej kierunku. Zawsze siadała przy stole obok okna i tam spędzała razem z Kamińskim niedzielne popołudnia. I chociaż jej rozmówca miał na sobie więzienny drelich, to i tak oboje wyglądali, jakby znaleźli się tutaj przez pomyłkę. Jakby ta rzeczywistość była jakimś

cholernym nieporozumieniem.

Mogę tylko domniemywać, że ta damulka przynosiła Skarbowemu gotówkę, za którą mógł tutaj kupić swoje łagodne przetrwanie. Po co zatem ktoś taki, miałby się bratać z przestępczą hołotą?

Podczas wielkanocnego śniadania, kiedy mimowolnie za swoimi plecami usłyszałem co znaczy skrót „trzy en wu” nadstawiłem uszu i przysłuchiwałem się dalszej dyskusji, jaka toczyła się przy tamtym stole.

- Skarbowy, ty jesteś obcykany w tematach pieniężnych – powiedział, któryś z więźniów i w tym samym momencie inni biesiadnicy zachichotali z rozbawieniem. - Może nam wyjaśnisz o co chodzi z tą pracą zarobkową?

- Tu nie ma co wyjaśniać, a sam wiem tylko tyle, co można usłyszeć od strażników – padła krótka i zwięzła odpowiedź.

- Aleś ty głupi – rzucił inny skazaniec. - Pytasz Skarbowego o drobne? - tym razem chichot zamienił się w salwę szczerego śmiechu.

- To wcale nie takie drobne – Kamiński odparł po chwili - biorąc oczywiście pod uwagę osiem setek chłopa, którzy przebywają tutaj w charakterze więźniów. Policzmy ile to wyjdzie – mówił głosem, w którym czaiło się lekkie zaciekawienie. - Przeciętny robotnik w Polsce zarabia złotówkę na godzinę,

podejrzewam, że osoby osadzone w więzieniach mogą dostać co najwyżej połowę tej stawki.

- Czyli, że co? Że dostaniemy pół złocisza na godzinę? - zapytał ktoś.

- Teoretycznie można przyjąć taką kwotę, bo na więcej nie ma co liczyć. Dziesięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, to daje nam sześćdziesiąt godzin razy pięćdziesiąt groszy i otrzymamy trzydzieści złotych na tydzień, razy cztery tygodnie, to robi się sto dwadzieścia złotych. Podatek zostanie potrącony, bo jak to mówią Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie. Powiedzmy, że państwo zabierze dla siebie wysokość jednej tygodniówki, co pozwoli nam uzyskać na czysto dziewięćdziesiąt złotych.

- To całkiem nieźle – ktoś wpadł mu w zdanie.

- Nieźle? - Skarbowy rzucił pogardliwie. - Podejrzewam, że połowę wynagrodzenia przejmą władze więzienia jako profit za utrzymanie. Wtedy zostanie czterdzieści pięć złotych. Z tych czterdziestu pięciu minimum jedną trzecią administracja zatrzyma, żeby gromadzić więźniowi fundusz na dzień wyjścia, czyli wypłata zamknie się w granicy trzydziestu złotych miesięcznie. Osiemset łbów razy trzydzieści daje nam dwadzieścia cztery tysiące miesięcznie. Panowie – zawiesił na moment głos – wychodzi na to, że wszyscy razem opływamy w dostatek.

- Skąd sobie wytrzasnąłeś te coś tam utrzymanie

i jakiś fundusz na wyjście? - zapytał któryś.

- Bo tak mówią klawisze, a swoją drogą, dlaczego sądzisz, że państwo nadal będzie opłacać twój pobyt w tym przybytku, skoro ty będziesz zarabiał? System jest tak skonstruowany, żeby skarb państwa nie dopłacał do tego interesu więcej niż powinien. Natomiast fundusz na twoje wyjście będzie gromadzony po to, żebyś miał coś na start, kiedy jako wolny człowiek przekroczysz na drugą stronę bramy. Jeżeli dzisiaj cię wypuszczą i nie będziesz miał grosza przy duszy, to bardzo szybko tutaj wrócisz, prawda?

- Siedziałem już trzy razy i kiedy mnie zwalniali, zawsze dostałem trochę forsy na wyjście – powiedział jeden ze słuchaczy.

- Najwyraźniej jajogłowi w Ministerstwie Skarbu stwierdzili, że od teraz lepiej będzie jak sam sobie uzbierasz te pieniądze – podsumował Kamiński.

- I jeszcze im za to zapłacisz w formie podatku. Tak panowie, tak właśnie funkcjonuje instytucja skarbowa.

- To jest bez sensu – ktoś wpadł mu w zdanie.

- Z pozoru może się tak wydawać, ale tutaj nikt niczego nie robi z myślą o was. O nas – poprawił się.

- Tu chodzi o to, żeby naszym kosztem nabić bardziej skarbonkę II Rzeczypospolitej.

- Nie kumam – padło z czyichś ust.

- Podatki to złożona sprawa – Kamiński wypowiedział swoje słowa takim tonem, jakby chciał uświadomić